

I/849

Zapis relacji Adama Walezaka zamieszkałego w Toruniu przy ul. Łysko-
wskiego 1a/56. - nagrane i spisane przez K. Tasę

© ARCHIWUM WŚCHODNIE

Tu będzie trochę zaskoczenie, bo urodziłem się w Berlinie 21 paździer-
nika 1915r. Ojciec mój urodził się w Strzelnie, matka w Poznaniu. Po-
znali się w Berlinie i w 1911r. zawarli związek małżeński. Do Polski
przyjechaliśmy w 1920r. Zamieszkaliśmy w Toruniu. W 1922r., mając sie-
dem lat, rozpocząłem naukę w szkole ćwiczeń przy państwowym semina-
rium nauczycielskim żeńskim w Toruniu. Po czterech klasach /bo tylko
tyle było/ przeszedłem do piątej klasy do szkoły powszechnej nr 4
przy ulicy Sienkiewicza i tu skończyłem siedem klas szkoły podstawowej.
W 1925 r. związałem się z harcerstwem. Fascynowało mnie ono i całą swą
młodość zasadniczo poświęciłem życiu harcerskiemu. W 1929 r. po skoń-
czeniu siedmiu klas rozpocząłem naukę w państwowym seminarium nauczy-
cielskim męskim w Toruniu od kursu wstępnego. Uczęszczałem do tej
szkoły przez sześć lat. Oprócz nauki nadal zajmowałem się harcerstwem.
Skończyłem wszystkie stopnie młodzieży harcerskiej, tzn. młodzik, wy-
wiadowca, ćwik, harcerz Rzeczypospolitej, harcerz orlik i skończyłem
kurs podharcemistrzowski. Matnię zdałem w 1935 r. Starłem się dostać
do Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej, która była w Toruniu. Prze-
szedłem wszystkie badania, okazało się, że jestem daltonistą, zdol-
nym do służby wojskowej przez lotnictwo i marynarki wojennej. To mnie
trochę zakłamało. Nie wiedziałem co dalej z sobą zrobić. Postanowiłem
w każdym razie odbyć służbę wojskową żeby mieć to już za sobą. Przy-
dział dostałem do dywizyjnego kursu podchorążych piechoty w Brodnicy.
Po trzech miesiącach wykawiano kandydatów do szkoły oficerskiej. Zgło-
siłem się. Miałem ósmą lokatę. Wojsko podobało mi się, do tego zawodu
predystynowało mnie życie harcerskie. W czerwcu 1936r. zostałem prze-
niesiony do pułku manewrowego w Szkole Podchorążych Piechoty w Komo-
rowie. Był to okres przygotowawczy, po zdaniu tych egzaminów kandydat
był dopiero przyjmowany do szkoły oficerskiej. Pułk manewrowy skończy-
łem w 1936 r. we wrześniu z przydziałem do Torunia, gdzie w 63 pułku

piechoty oczekiwałem na nominację na podchorążego Szkoły Podchorążych Zawodowych w Komorowie. 20 września otrzymałem przydział i przygotowywałem się do Szkoły Podchorążych. W 1937 - 1938 r. byłem w szkole. Zdziałem doskonale. Na 420 kandydatów miałem 110 lokatę i otrzymałem przydział do 77 pułku w Lidzie. Trochę mnie to nie odpowiadało, gdyż ja marzyłem o kresy wschodnie. Dopiero w Szkole Podchorążych zacząłem się z tymi terenami zapoznawać. Im dłużej tam przebywałem tym więcej serca zyskało Wilno i Wileńszczyzna. Będąc na manewrach w 77 pułku poznałem tereny północne Wileńszczyzny /tzn. Postawy, Święciany, manewry odbywały się wzdłuż jeziora Narocz/, a także i południowo /Mołodeczno/. Bardzo mi te tereny odpowiadały. Poznałem więc teren dość duży, poznałem ludzi ich śpiwną mowę, ich szalenie sympatyczne podejście do życia, wesołość. Wilno już mnie zafascynowało całkowicie. W 1938 r. promocja, przydział do pułku. Po urlopie 11 listopada miałem się zameldować w Warszawie na defiladzie a po defiladzie w pułku, gdzie 12 listopada akurat przypadało święto pułkowe. Sama Lida to miasteczko nieduże, około 10 tysięcy mieszkańców. Ludność przeważnie żydowska, Polaków mało, trzymali się oddzielnie. Dla nas wojskowych wejście w miasto, w życie towarzyskie było bardzo trudne. Przed wojną szkolenie było bardzo intensywne, nie mieliśmy już czasu ani na wyjście do miasta, byliśmy cały czas zajęci przyspieszonym szkoleniem. Początkowo byłem dowódcą plutonu piechoty, następnie od czerwca zostałem dowódcą plutonu karabinów maszynowych Szkoły Podoficerskiej. Na tym stanowisku zastała mnie mobilizacja. Mobilizacja przewidywała, że dowódcą plutonu szkoły podoficerskiej zostaje dowódcą kompanii karabinów maszynowych. Po ogłoszeniu mobilizacji przystąpiłem do organizowania kompanii karabinów maszynowych. Było to 24 sierpnia, na front jednak nie pojechałem, gdyż jako młody podporucznik zmieniono mnie i pozostałem w pułku, jako w pułku zapasowym dywizji piechoty. Tu zaskoczyła mnie wojna. Następnie 17 września było wejście jednostek radzieckich do Polski. To co było już zorganizowane

-ne i uzbrojone a składało się z żołnierzy wezwanych z zachodu, bar-
dzo dużo np. Poznaniaków, Pomorzaków, którzy zostali zmobilizowani do
77 pułku w Lidzie, z tymi /było nas może około 400 uzbrojonych/ wyru-
szyliśmy w kierunku Wilna. Resztę spośród miejscowej ludności rozpusz-
czano do domów. Dowódcą pułku był pułkownik Blumski, który w okresie
okupacji przyjął nazwisko Strychański. Szliśmy na Wilno, w nocy skręci-
liśmy na Orany, gdyż Wilno już było zajęte przez oddziały sowieckie.
Doszliśmy do Oran, tu krótki odpoczynek. Okazało się, że jest transport
i możemy pojechać do Grodna. Faktycznie załadowano cały oddział i po-
jechaliśmy do Grodna. Jechaliśmy koleją. Grodno nie było jeszcze zaję-
te. przez Sowietów, a Niemcy byli kilkanaście kilometrów od Grodna.
Zaczęliśmy organizować obronę. Tak prawdę mówiąc nie było jednak czynu.
To co w Grodnie zastaliśmy to działa przeciwlotnicze, które stało na
moście i broniło wejścia od zachodu. My staliśmy po wschodniej stronie
Niemna i przez noc rozpoznawaliśmy co się dzieje na przedpolu. Za Nie-
mem zaczęły nadchodzić oddziały sowieckie. Na ranie nie przeprawiały
się. Z naszej strony wyszedł patrol, przeprawił się przez Niemen i du-
żo zamięszania sprawił w jednostkach pancernych sowieckich używając
butelek z benzyną i zapalając niektóre czołgi. Rano bolszewicy przeprawi-
li się przez Niemen i zdobyli most nieuszkodzony. Uszkodzony on był
w czasie przedwojennym, ale został następnie częściowo naprawiony.
Przyszedł rozkaz wycofywania się, wycofywaliśmy się prawym brzegiem
Niemna w kierunku północnym i pod Chożą, gdzie już uprzednio była przy-
gotowana przeprawa przedostaliśmy się w kierunku na Kanał Augustowski.
Do chwili przejścia Kanału Augustowskiego był to wielki wyścig. Sowietci
atakowali od kierunku Lidy chcąc odciąć nas od granicy litewskiej, ale
tu pięknie walczyła kawaleria osłaniając nasz przemarsz. Oprócz oddzia-
łów ludzkich szły oddziały KOP-u. Wieczorem po przeprowieniu się przez
Kanał Augustowski dotarliśmy do granicy polsko - litewskiej i tam przez
całą noc i przez cały dzień rozpoznawaliśmy co dalej się dzieje.

22 września dowódca pułku pułkownik Blumski podjął decyzję przejścia granicy litewskiej. Tak też się stało. Do tego czasu nie spotkaliśmy się z Armią Czerwoną, nie mieliśmy więc z nimi żadnych walk zbrojnych, czy też starć. Na Litwie zostaliśmy internowani w Birsztanach. Byliśmy załamani moralnie. Nie myśleliśmy, że tak szybko i z takim rezultatem zakończy się ta wojna. Od razu rozpoczęła się akcja propagandowa. Podzielono nas oficerów na grupy wyznaczając termin zgłoszenia się w ambasadzie polskiej w Kownie. Ja byłem w grupie 17 oficerów piechoty złożonych z naszego pułku. Na pierwszy ogień poszli lotnicy i służby techniczne, my dopiero na konie. Przygotowywano już jednak zdjęcia do paszportów i dane, które miały być potrzebne do wyrobienia paszportów. Ułatwiło nam to potem szybkie otrzymanie rejestracji w Kownie. Celem tych działań było umożliwienie przedostania się polskim oficerom do Francji. Działania te prowadzili sami polscy oficerowie internowani na Litwie nie wtajemniczając w nie władz litewskich.

Oboz internowania otoczony był drutem kolczastym. Birsztany były ośrodkiem wyprodukcyjnym litewskiej "śmietanki". Zakwaterowani byliśmy w willech, nie było tam wprawdzie kózek ale zrobione prycze, sienniki. Sam pobyt, po emocjach wojny, był możliwy. Wyżywienie w pierwszych dniach było nawet bardzo dobre, gdyż polska kawaleria, która nas wcześniej osłaniała prowadziła duży transporter żywności, która teraz została przydzielona do kuchni dla internowanych. Broń musieliśmy zdać od razu na granicy, ale niektórzy przemycili pistolety. Sam chciałem przemycić lornetkę, ale nie udało mi się gdyż jednak przeprowadzano rewizję. Byliśmy w polskich mundurach. Teren był ogrodzony, ale "centrum handlowe" było dostępne i dla Litwinów i dla Polaków. Tak, że obracaliśmy się wokół ośrodka wczasowego i tam nawiązywaliśmy kontakty z Polakami z Litwy, którzy tu przyjeżdżali. Ja np. z kolegą Turem /właściwe nazwisko Turonek/ umówiliśmy się, że za nasze mundury dostaniemy ubrania cywilne. Ponieważ termin ~~dotarcia do Kowny~~ mieliśmy wyznaczony na 15 paździer-

-nik, /była to niedziela/, a w Kownie musieliśmy być na 15 października to na tą datę umówiliśmy się z miejscowymi Polakami, którzy nas mieli oczekiwać. Ucieczka z obozu nie była raczej początkowo trudna. Byli wartownicy litewscy, ale przecież człowiek też był w tym harcerstwie. Tak, że można było te posterunki ominąć. Stosunek litewskiej komendy obozu był do nas bardzo pozytywny. Jednym z naszych staremu majorowi, który prosił by pozwolić mu wyjechać do Kowna komendant obozu - litwin powiedział, że wy Polacy wracacie z Syberii to i stąd potraficie wyjść. Już samo to powiedzenie świadczy o dobrym stosunku do nas dowództwa litewskiego pilnującego nas w obozie. Po ucieczce z obozu tak jak było umówione zamieniliśmy nasze mundury na ubrania. Razem ze mną byli upor. Witold Turonek, porucznik Matusiak. We trójkę doszliśmy do Pren. Trochę podwiezli nas Polacy, z którymi wymieniliśmy się ubraniami, ale już w Prenach musieliśmy sami sobie dawać radę. Chcieliśmy pojechać do Kowna ~~na pociąg~~, gdyż odległość wynosiła około 40 kilometrów. Podeszliśmy więc do kasy biletowej na stacji. Wcześniej pytaliśmy się Polaków z którymi wymienialiśmy się ubraniami jak trzeba zapytać się o bilet. Powiedzieli nam, ale nasz akcent i sama mowa zdradziła nas, że my jesteśmy uciekinierami. Sprzedająca bilety poprosiła nas żebyśmy się nachylili i powiedziała nam: "idźcie za miasto bo w autobusie będzie sprawdzanie dokumentów i was aresztują". Jeśli autobus będzie miał puste miejsca to się zatrzyma za miastem i was zabierze. My nie czekając już na bilety poszliśmy. Dowiedzieliśmy się już potem, że dużo Polaków, którzy kupili bilety /a właściwie którym kupiono je/ zostali potem w autobusie aresztowani. Wywieziono ich następnie do VI fortu w Kownie. Ruszyliśmy w drogę. Autobus się jednak nie zatrzymał, bo był przepełniony. Doszliśmy do Kowna wieczorem. Z opowiadań mieliśmy wiadomości, że wejście do Kowna przez mosta stoją strażnicy litewscy i czasami kontrolują przechodzących. Zastanawialiśmy się jak przejść by nie napatoczyć się na te patrole.

Udało się nam , gdyż akurat przechodził kondukt pogrzebowy z orkiestrą z zakładów więsnych. W tłumie uczestników pogrzebu weszliśmy do Kowna. Wiedzieliśmy , że mamy się zgłosić na ulicę Fiejszuta 2 tam była polska placówka, która przyjmowała uchodźców organizując im kontakty i wyżywienie. Pierwszą noc spędziliśmy w polskim gimnazjum w sali gimnastycznej. Na drugi dzień spotkaliśmy się całą grupą /15 osób/, która była planowana do wyjazdu. Gdy przyszliśmy do ambasady polskiej to spotkała nas pewnego rodzaju przykrość. Powiedziano nam , że mamy się spotkać w lutym, a było dopiero 16 października. Zapukaliśmy jeszcze raz i po otwarciu drzwi się wdarliśmy do ambasady chcąc wyjaśnić sprawę. Ambasadora już nie było. Chorwat już wyjechał z Litwy. Przyjął nas jego zastępca. Na drugi dzień otrzymaliśmy paszporty. Najważniejszym było teraz otrzymać wizę pobytową litewską, która pozwalała się swobodnie się poruszać. Najpierw jednak by uzyskać wizę litewską musieliśmy uzyskać wizę francuską pobytową. Tą otrzymaliśmy szybko i na tej podstawie dostaliśmy wizę litewską. To już nam pozwalało na swobodne poruszanie się po mieście. Już od 18-19 października zaczęły się pewne trudności z wyjazdem. Winni temu byli i sami Polacy. Wyjeżdżali zadowoleni, że mają już i szwedzkie wizy przejazdowe /jedyna droga wyjazdu była przez Łotwę dlatego, że Litwa nie miała portu, gdyż Kłajpedę zabrali Niemcy, a do innych statki pasażerskie nie dobiegały bo były zbyt małe/. Wyjeżdżając trochę popili, zaczęli śpiewać pieśni patriotyczne. To wzmoćniło czujność władz litewskich niemieckich. Zarządzano żeby wszyscy wyjeżdżający na Łotwę zgłosili się najpierw w konsulacie niemieckim. Gdy wypłynął statek "Estonia" to został on przez Niemców przejęty , wywieziony do Swinoujścia , a wszyscy byli aresztowani. Ta droga była więc zagadniczo zamknięta. Nie odstraszało to nas. Jeżeli nie tym statkiem to innym wydostaniemy się z Łotwy. Nastąpił teraz jednak nowy wymóg ze strony litewskiej. Wszyscy wyjeżdżający musieli przejść przez

komisję, której trzeba było udowodnić, że nie byliśmy w wojsku polskim. Jak to udowodnić jeśli się ma 23 lata, jest się zdrowym. Wobec tego zaczęliśmy szukać Polaków, którzy mieszkali na Litwie a byli w 1939r. w Polsce. Znaleźliśmy nauczycieliki, które nam notarialnie poświadczyły, że spotkały nas jako studentów. Z tymi zaświadczeniami udaliśmy się do VI fortu w Kownie aby otrzymać zezwolenie na opuszczenie Litwy. Litwinie nie dali się jednak na to nabrać. Pierwszy wszedł mój kolega "Tur" /Turonek/. Po chwili drzwi się otworzyły, tur wybiegł i wkończył w kolejkę około 100 osób, która stała przed drzwiami. Po chwili z pokoju wybiegło dwóch żołnierzy litewskich, szukają osobnika, który przed chwilą uciekał. Wszyscy mówią, że nikt nie uciekał. Nie znaleźli Turonka i po chwili wrócili do pokoju. Ja miałem iść następny, ale Turonek powiedział mi, że tym sposobem nie damy rady. Nim ponownie pojawili się żołnierze litewscy nas już nie było. Zaczęliśmy się zastanawiać co robić dalej w takiej sytuacji. Zrzeczenie studentów polskich na Litwie poradziło nam żebyśmy wyjechali w teren.

Jeszcze przed ucieczką składaliśmy przysięgę na ręce pułkownika Gębskiego do Służby Zwycięstwu Polski zobowiązując się, że jeżeli nie dostaniemy się do Francji, nie wydostaniemy się z terenu Litwy, że będziemy szukali natychmiast kontaktu w Wilnie. Przysięgę taką składaliśmy jeszcze w obowie internowania w Birsztanach. Zrzeczenie studentów, jak się okazało było już w kontakcie z wileńską konspiracją i kierowało rozlokowaniem i organizacją naszej ucieczki. Zostałem skierowany do powiatu uciańskiego. Pojechało nas trzech oficerów 77 pułku: Witold Turonek, Józef Matusiak, który obecnie nazywa się Tosiacki i jest artystą teatru toruńskiego i ja. Zostaliśmy skierowani do majątku Kurtle II. "Ych Kurtli to tam było szalenie dużo. W litewskim języku nazywało się to Antrakurkliu Dwaras. Właścicielami było państwo Niewygońskich. Ze strony żony pana Niewygońskiego była to rozgałęzioną rodziną, która swymi korzeniami sięgała nawet do rodziny Piłsudskich. Celem

organizatorem naszego życia była babunia Brzozowska. Rodzina Brzozowskich była znana na Litwie. Była to bogata rodzina. Najstarszy syn z tej rodziny oficer kawalerzysta - rotmistrz został w 1939 r. wywieziony do Starobielska. Drugi syn Janek Brzozowski od 1942 r. w konspiracji, lekarz, był początkowo lekarzem w 13 brygadzie a potem kierownikiem szpitala 3 Zgrupowania Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego. Trzeci syn - Zygmunt pracował w Bip-ie Okręgu Wileńskiego. Przyjeści byliśmy przez nich bardzo przyjemnie. Majątek był przeszło 60 hektarowy, ale kupiony już po wojnie. Brzozowscy mieli majątek Jakubowo, był to duży majątek. I koło nas drugi majątek. Były to majątki gospodarcze przeszło 150 hektarowe. Organizacja gospodarcza w okresie po 1920 r. i parcelacji pozwalała na 300 hektarowe majątki jeśli miały gorzelnie czy krochmalnie, były jakoś uprzemysłowione, inaczej można było mieć do 150 hektarów. Reszta podlegała nieodpłatnej parcelacji. Niewygórsy mieli 60 hektarów, ale trzeba przyznać, że była bardzo wysoka kultura uprawy. Zasadniczo cała Litwa bazaowała na przetwórstwie rolnym. Działały trzy wielkie spółdzielnie: "Maistas" - to przetwory mięsne, "Pienocentras" - mleczarnie i "Lietukis" to był handel. Te trzy gałęzie przemysłu rolnego działały na Litwie. Standard w majątku był wysoki, uprawiano jęczmień kwalifikowany żyta. Był też duży kurnik, obecnie nieczynny. Naszym zadaniem było starać się w powiecie o otrzymanie zezwolenia na wyjazd za granicę. Zezwolenia takie miały prawo wydawać starostwa. Niestety kiedy my już przyjechalismy to przyszło już nowe zarządzenie i starostwo w Uclanie nie mogło nam wydać takiego zaświadczenia skierowując nas spowrotem do Kowna. Zaczęły się zawężać nasze możliwości. Trudni nam było poruszać się w terenie. Musieliśmy meldować się w policji. Trzeba jednak przyznać, że policja była do nas dobrze ustosunkowana. Komendant policji jak przyjechalismy, gospodarz i nie bardzo umiał po litewsku pisać, gośpodyni która kończyła studia w Wiedniu doskonale potrafiła pisać po niemiecku, po francusku, po po

-sku, ale po litewsku też niebariżo. Jak nam napisali podania o zezwolenie na pobyt to w Cniksztach /było to najbliższe miasteczko/ urzędnik powiedział nam byśmy poszli pochodzić po miasteczku i przyszedli za godzinę a on w tym czasie przepisze nasze podania już bez błędów. Specjalnych szykan potem nie mieliśmy. Czas szybko mijał. Przyszedeł 1940 rok. W czerwcu na Litwę weszli bolszewicy. W międzyczasie w ciągu zimy rozjeżdżaliśmy po posiadach orientując się kto mieszka, jaka w terenie jest siła nabywcy Polaków. Były to polskie rodziny, mniej czy więcej przesiąknięte polskością. Jeździliśmy rozwoząc książki z przenośnej polskiej biblioteki. Tyle i tyle książek pozostawało np. na dwa tygodnie w jakimś majątku. Potem przewoziliśmy je do następnego i tak dalej i dalej, aż wymiwniało się wszystkie w Kownie na inne. My podjęliśmy się rozwozić te książki. Robiliśmy to niby dla przyjemności mając już jednak zamiar czynić jednocześnie rozpoznanie co do możliwości tworzenia szkieletowych oddziałów polskich. Mieliśmy łączność w Wilnie z pułkownikiem "Starychańskim" /Blumskim/ a poza tym w Kownie działało Zrzeszenie Studentów Polskich i Polski Komitet na czele którego stanął dr Dowgird Adam. Kontakty jakie nawiązaliśmy w terenie przekazywaliśmy do ośrodka wilkomińskiego. W Ucie nie było konspiracji. Ucie nie była raczej litewska, natomiast Wilkominierz to byli przeważnie Polacy. Było to jeszcze w końcu 1939 r. i na początku 1940 r. Przez ten czas spotykaliśmy się z Litwinami mieszkającymi obok i trzeba przyznać, że byliśmy przyjmowani bardzo sympatycznie. W ciągu tych długich miesięcy nie miało obowiązków uczenia się litewskiego, żebyśmy mogli się porozumieć z otoczeniem. Służba w majątku mówiła po litewsku, ale wszyscy jednocześnie rozumieli po polsku w najgorszym wypadku to już po rosyjsku żeśmy się porozumiewali. Nasi gospodarze wiedzieli ki my faktycznie jesteśmy natomiast nikt z współmieszkańców tego nie wiedział. Wszyscy uważali nas za artystów bo my dużo śpiewaliśmy, kolega grał na harmon

ni i na skrzypcach. Wieczorem organizowaliśmy tańce, na które przychodzili mieszkańcy. W kościele nawiązaliśmy kontakty z księdzem. Po mszy szliśmy na herbatkę do księdza. Był taki zwyczaj, że ci którzy przyjeżdżali z majątków szli do księdza na herbatkę. Ksiądz był dosyć młody. Zasadniczo nam się nie podobał. Był szowinista. Umiał po polsku, ale nie chciał rozmawiać po polsku. Wolał z nami rozmawiać po rosyjsku. Gdy weszli bolszewicy na Litwę to nasz majątek ponieważ był kupiony i na to były dokumenty w części ocalał. Zostawiono 30 hektarów. Trzeba przyznać, że wejście bolszewików na Litwę było zupełnie inne niż na tereny polskie. Tam weszli pod hasłem wyrznięcia burżujów i kulaków, a tu na Litwie była jakaś większa delikatność. Rozgraniczano także i to, że kto kupił swój majątek to dostawał 30 hektarów z tym, że trzeba je było uprawiać własną rodziną. Nie wolno było mieć najemnika. Rozpoczęła się parcelacja. Cito dotychczas byli pracownikami to dostali ziemię. O nas dalej sędzono, że jesteśmy artystami, muzykantami w każdym razie nie łączono nas z wojskiem a to było bardzo dobre. Do majątku przyjęto nas jako gości, przyjęto nas tak jak byśmy byli rodziną. Zaopatrywano nas nawet w tytoń. Był okres, że w majątku w Jakubowie było 11 takich jak my. Nie było majątku w którymby nie było po dwóch - trzech Polaków, którzy w różny sposób odwzajemniali się swym żywicielowi, pomagając w różnych pracach. Zaczęliśmy się uczyć orać, tak że jak przyszli w czerwcu bolszewicy to cały majątek był już zao-rany. Gospodarz był bardzo sympatycznym, serdecznym człowiekiem, ale już starszym i nie mógł podjąć prac fizycznych. Jeden z naszych kolegów, bo było nas początkowo trzech, wyjechał do Wilna i tam pozostał, włączając się do pracy teatru "Litnia". Był on śpiewakiem. Zostało nas więc dwóch i przejęliśmy prace rolne. Po przyjeździe bolszewików w Wilnie zaczęto wydawać dokumenty z prawem pobytu na Litwie wszystkim, którzy urodzili się na Wileńszczyźnie. Ja dostałem dokumenty na podstawie tego, że moi rodzice urodzili się w Ucianie, ci którzy wystawiali te

dokumenty nie wiedzieli , że ja obecnie mieszkam koło Uciany. Ten dokument pozwalał na swobodne poruszanie się po terenie. To nam bardzo ułatwiło naszą działalność. Nawiązaliśmy już ścisłe kontakty z Wilnem. Działalność nasza obecnie polegała tylko na przygotowaniu szkieletowej organizacji oddziałów. Nie chodziło tu jeszcze o ćwiczenia, czy działalność grup zbrojnych, owszem zbieraliśmy już broń jaka była możliwa do zebrania w terenie /wyniki w zbieraniu broni nie były na naszym terenie duże/, mieliśmy już jednak dość dużo ludzi. Naszym celem było zapoznanie ludzi i organizowanie ich w nieduże grupy. Teren naszego działania obejmował mająteczki a nie miasteczka dlatego też był rozległy. Było dużo zapalanej ale niewyszkolonej młodzieży. Trzeba było teraz szukać tych Polaków , którzy mogli jej coś uczyć, tych którzy odbywali służbę wojskową ale w wojsku litewskim. Uzbrojenie obu armii było podobne co ułatwiało nam już nie tylko organizację ale i szkolenie. Szkolenie było bardzo prymitywne. Nie łączyliśmy się w jakieś duże grupy dlatego , że to było niemożliwe ze względu na rozprzestrzenienie ludzi w terenie. Na podstawie rozpowszechnionej opinii , że jesteśmy artystami bolszewicy dawali nam jakiś spokój. Oni bardzo poważali artystów. Widzieli też , że pracujemy na roli i dobrze żyjemy z sąsiadami to miało to też chyba łagodzący wpływ. Na podstawie uzyskanych dokumentów nie byliśmy już uciekinierami a obywatelami Litwy, tej która weszła w skład Związku Radzieckiego. Byliśmy jednak przygotowani na to , że coś musi się jednak stać, że ta cisza tak niebywale inna niż na terenach polskich / mieliśmy informacje spod Lidy o trzech masowych wywózkach miejscowej ludności a tu nie ruszano nikogo/ jest ciszą przed burzą. Było to niebywałe zestawienie dwóch terenów znajdujących się pod tą samą władzą saskowicieodmiennie traktowanych. Bomba pękła na tydzień przed wybuchem wojny niemiecko - radzieckiej. W tym czasie nasłuchiwała wywózka Polaków z majątku. Ponieważ my żyliśmy dobrze z władzą wojskową , z sołtysami przyjechał do nas sołtys /miejscowy komunista/

mówiąc , że jedzie na ważne zebranie. Zorganizowaliśmy trochę alkoholu i sortys nie pojechał już na to ważne zebranie. Okazało się , że to było wielkie wybawienie dla całego sołectwa, i gdyż sortys wioząc spisy ludzi którzy mieli być wywiezieni. W czerwcowych /1941 r./ wywózkach w sołectwie dzięki temu nie wywiezino nikogo, a za tydzień wybuchła już wojna. Przychodzili do nas komuniści, którzy ~~zamiast~~ mieli jednak do nas jakieś zaufanie. Pytali się co robić w tej nowej sytuacji. Radziliśmy im :~~nie~~ "bierz nogi na pas i uciekaj stąd bo ciebie tu wszyscy znają, nie dziś, nie jutro ale za tydzień ci nie darują. Przynosz pistolet , który miałeś i uciekaj". W ten sposób wzbogaciliśmy się o kilka pistoletów. Odsłoniła się też druga twarz nacjonalistów litewskich. W okresie panowania bolszewików zbieraliśmy się ~~na~~ w świetlicy na różaniec , na nabożeństwo majowe. Ja odprawiałem modlitwy, śpiewy po polsku, a potem po litewsku jedną pieśń , której znałem początek. Zaintonowałem a zgromadzenie śpiewało dalej. Przyjeżdżał też ksiądz - Litwin od którego najbardziej z nim zaprzyjaźnieniem nawet Litwini odsunęli się , nie chcieli go. Graliśmy z nim w brydża, w tym momencie zaczął z nami rozmawiać po polsku. Zdawało się , że byliśmy w dobrej komitywie. Jak przyszli Niemcy po pewnym czasie przyjechał do nas ksiądz. Siadamy do kart, a on odzywa się do nas po litewsku. My odpowiedzieliśmy mu po niemiecku. Zaskoczony popatrzył na nas. Pod koniec wiosny 1942 r. Litwini zaczęli wywozić Polaków na roboty do Niemiec. Początkowo chcieli nas wywieźć. Pojechaliśmy do Uciany i tu dość niespodziewanie przyszedł nam z pomocą Niemiec z Arbeitsamtu. Ponieważ nasz majątek leżał obok majątku Brzozowskiego a tam była krochmalnia , którą prowadził nasz gospodarz /był jej dyrektorem, a my mu pomagaliśmy w pracy/ Niemiec zaczął nas bronić mówiąc, że my jesteśmy potrzebni do pracy na miejscu. Litwini koniecznie chcieli nas skierować na roboty. Przez miesiąc nie wypaliłem tyłu papierosów co wtedy. Również nasze dokumenty budziły wątpliwość. Miałem napisane , że moi rodzice pochodzą z Uciany a my obecnie mieszkaliśmy koło Uciany.

wystarczyło tylko sprawdzić by okazało się to nieprawdą. Niemiec był zorientowany, że my jesteśmy Polakami. Poży tygodniu przyjechał do nas stwierdzając, że zostaniemy wywiezieni przez Litwinów do obozu koncentracyjnego. Na odebranych gospodarzom polskim majątkach osadzeni mieli być Niemcy. My musimy więc wyjechać na roboty do Niemiec, nie do miasta alek na wieś, bo jesteśmy dobrymi pracownikami, a nasz gospodarz musi się przenieść do fabryki, by nie narażać gospodarza na drugi dzień pojechaliśmy do Uclany decydując się na wyjazd na roboty do Niemiec. Litwini byli zaskoczeni, że wyjeżdżamy. Niedawno broniliśmy się przed wyjazdem, a teraz jedziemy dobrowolnie. Mówili nam nawet, że możemy jeszcze pozostać, powiedzieliśmy, że teraz to my już nie chcemy. Dojechaliśmy tylko do Wilna. ^{Wjechaliśmy} ~~Kijotkajka~~ do miasta lipcowym wieczorem. Jechaliśmy specjalnym pociągiem, w którym znajdowali się sami wywiezieni na roboty do Niemiec. Pochodzili oni z okolic Łucian, Drui, Drisay. Transport był łączony w Nowo - Święcianach. Z Uclan jechaliśmy wąskotorówką, a w Święcianach przesiadaliśmy się do bydłowych wagonów. Z nami jechał wartownik, przedstawiciel Arbeitsamtu. W transporcie było dużo młodych dziewcząt i chłopców polskiego pochodzenia. Przygotowano nam dobre jedzenie, mieliśmy już zimowe ubrania. Co mieliśmy płakać, jedziemy przecież pociągiem. Zaczęliśmy grać w karty, wypiliśmy trochę wódki. Podjeżdżamy do Nowo Wilejki. Drzwi były otwarte. Patrzymy, peron był pusty ale niedaleko stali litewscy policjanci, jeśli wyjdziemy zaczęną strzelać. Na wiadukcie koło Rosy pociąg nieco zwolnił i wtedy my wyskoczyliśmy z wagonu. Nim się wartownik zorientował pociąg odjechał a my szybko weszliśmy na wiadukt. Teraz jeden w jedną stronę, a drugi w drugą. Jeśli jedno go złapie to może drugi ucieknie. Doszliśmy do Ostrej Bramy w Wilnie. Koło Ostrej Bramy mieliśmy znajomego. Na szczęście był w domu. Od razu umyliśmy się, był przecież lipiec a my w kurtkach, swetrach gdyż nie było wiadomo co będzie a zima przed nami. Zatrzymaliśmy się u niego. Na

drugi dzień skontaktowaliśmy się ze swoimi władzami. Dostaliśmy nowe dokumenty i zostaliśmy skierowani do Oszmiany. Droga była fatalna, gdyż musieliśmy przejść cały odcinek /około 50 kilometrów/ pieszo. Mieliśmy skierowanie do nieznanego nam człowieka, nie wiedzieliśmy jednak co nam jutro przyniesie. Nie znaliśmy tego terenu. Spotkaliśmy się .Wiktor Snaski miał mająteczek przed samą Oszmianą. Był tam gospodarzem, nie była to jednak jego własność. Nie było właściciela gospodarstwa wobec tego został on do tego majątku delegowany z Orszakomendantury. Okazał się bardzo miły, ale możliwości miał niewielkie. Zameldowaliśmy się w Oszmianie .Kilka dni trwało zanim zdecydowaliśmy się zakwaterować. Ja dostałem przydział opuszczonego majątku Pogiry koło Murowanej Oszmianki. Było to jak się później okazało gospodarstwo mego kolegi Olechnowicza, którego poszukiwało Gestapo/ był to Roman Olechnowicz brat Antoniego Olechnowicza z wileńskiej komendy ZWZ-AK, znałem go ze szkoły podchorążych/. W majątku oprócz dwóch pokoi nie było nic ani wideł , ani konia , ani kur, ani grabi, nic. Wyżywienie było na własną zapobiegliwość. Ratunkiem było to że niedługo będą zbiory, będzie więc zboże. Przydział do tego majątku dostałem z Ostlandu, w którym siedziało wielu Polaków. Chodziło przede wszystkim o zarejestrowanie mnie , o sam papierek. Rozpocząłem pracę. Do Oszmiany szedłem razem z moim kolegą Witoldem Turczeniem "Turem". Zostaliśmy też po dotarciu na miejsce przyjęci przez oficera z komendy inspektoratu F i dostaliśmy zadania. Oszmiana była podzielona na Oszmianę północ i Oszmianę południe. Trafiłem akurat na okres , w którym dowódca Oszmiany południe został zdekonspirowany i musiał uciekać. Ja objąłem po nim to stanowisko. Było to zrobione "w locie" tak , że kontakty dostałem bardzo słabe. Spotkałem się z nim. W czasie krótkiej rozmowy powiedział mi tylko gdzie i na jakie hasło powinienem się zgłosić i na tym nasz kontakt został ostatecznie urwany. Zacząłem teraz szukać po tych kontaktach. Poszło mi to szalenie opornie. Zostałem inspektorem Oszmiany południe , która obejmowała Kre-

wo, a także Grańszki, jeżeli chodzi o większe miasteczka. Kolega "Tur" dostał Oszmianę i północ Oszmiany. Pierwszą rzeczą jaką się dowiedziałem było to, że na moim terenie zorganizowany ma być cały batalion. Byłem tym zdumiony, szybko okazało się, że to było tylko na papierze. Moim znajomym na tym terenie był doktor Pempicki w Holszanach, miałem kontakt z jego narzeczoną ale jego samego nie mogłem znaleźć. Musiałem działać bardzo ostrożnie, gdyż każde pojawienie się nowego człowieka w tych niewielkich miasteczkach było od razu zauważane. Starłem się wykorzystywać dni targowe, ale wtedy było inne niebezpieczeństwo, gdyż były wzmożone kontrole dokumentów. Mija tydzień, drugi, trzeci, a ja nie mogłem znaleźć przekazanych mi kontaktów. Musiałem przystąpić do organizacji ludzi poza tym co było napisane. To samo zaczęło się w Krewie. Trzeba przyznać, że przyszłemu na gruncie doskonale nieprzygotowanemu ale moralnie szukającemu czegoś co dało by ujście chęciom miejscowej młodzieży. Teren był bardzo оголоzony. Rosjanie wywieźli wszystko. W 1942 r. każdy szukał możliwości przeżycia. Dopiero w 1942 r. jak zaczęły się udawać i była nadzieja na jakieś zbiory to ludzie zaczęli myśleć o organizowaniu. W 1942 r. to wszyscy byli zajęci szukaniem dóbr materialnych. Żeby dostać trochę zboża, trochę drożdży. Kupowano pud maki pędzono samogon, sprzedawano i za to kupowano mowu dwa pudy maki. Zboże jeden pud kupowano na siew a drugi na pędzenie bimbru i na tym wtedy polegała cała walka społeczeństwa na tym terenie. Inaczej było już w 1942 r. Kontakty były też przez to łatwiejsze. Ludzie garnęli się do pracy konspiracyjnej. Zaczęłem już łapać kontakty i w Krewie i w Holszanach i w Grańszkach i w wioskach mniejszych i rozwijać je dalej. Brakowało nam podoficerów, brakowało nam kadry. Było dużo młodzieży. Teren ten od 1939 r. był pod władzą sowiecką. W 1939 r. pierwszą mobilizację przeprowadzili Polacy na wojnę, dalej pierwsza wywózka, która dotyczyła przede wszystkim oficerów, podoficerów, którzy o których było wiadomo, że byli w wojsku polskim. W 1941 r. nastąpiła mobiliza-

-cja ze strony rosyjskiej. Tak , że teren był bardzo wyjałowiony. Ta garstka ludzi , która była wyszkolona została już właściwie wyciągnięta, wyeksloatowana, tak przez jednych , jak i przez drugich trzecich. Pozostała tylko młodzież, która dorastała. Trzeba więc było tworzyć i organizować jakieś jej szkolenie. Szlakiem kontakty z młodzieżą , która ukończyła lub nie zdążyła ukończyć gimnazjum w Oszmianie lub w Mołodiecznie. Zaczęłam ją organizować. Praca podobała mi się . Rokowała bardzo duże wyniki. Zimą zostałam odwołany ze stanowiska i przeniesiony na teren Mołodieczna. Tam został zdekonspirowany szereg miejscowy dowódca. Było to niebo i ziemia. Tu byli Polacy /jeśli chodzi o powiat oszmiański, powstały tu trzy brygady : 8 brygada , która ogarnęła Oszmianę i jej najbliższe okolice, powstała 12 obejmująca Krewę, Holszany i na południe do tory część powiatu wileńskiego i powstała 9 brygada na północy powiatu, a na terenie Mołodecznaśkim powstała tylko jedna brygada/ a na nowym terenie ~~właścicielom i mieszkańcom~~ była jakby pustaka. Jak przyjechałam sytuacja przedstawiała się następująco :dookoła powiatu , wzdłuż linii kolejowej i szosy Mołodeczno - Mińsk zamieszkała była przez Polaków. Natomiast cały środek po puszcze Nalibocką był "goły". To nie znaczy , że nie było Polaków, byli Polacy ale nie było żadnej władzy. Powstała tu partyzantka sowiecka której w 1942 r. pomagała AK. Organizowano ucieczki Sowieców ze szpitali, z obozów /pod Mołodiecznem był obóz w Gaju/ i przewożenie ich do puszczy Nalibockiej , gdzie tworzyły się oddziały partyzanckie. Byli to ludzie z inicjatywą ale pozbawieni moralnych cech. Były to oddziały przetrwania powstałe samorzutnie z ludzi zdeterminowanych, dla których ważne było sjeść , wypić i patrzeć co będzie. Często na podstawie fałszywych donosów zaczęły się rabunki, pożary. Z majątków musieli uciekać właściciele i naznaczeni jako urzędnicy niemieccy gospodarze. Majątki spustoszone pozostawały "gołe". Sowieci brali wszystko co mogło się ewentualnie przydać: zboże, świnie, krowy, konie. Ten stan nie zapowiadał możliwości zasiewów, a co dopiero mówić o zbiorach.

Teren powiatu Mołodeczkańskiego zamieszkiwała też duża liczba ludności białoruskiej. Przed 1939 r. tereny przygraniczne znajdowały się pod dużymi wpływami komunistycznymi. Wioski były nawet subsydiowane przez Komintern i bardzo wielu mieszkańców było nastawionych całkowicie pro-sowiecko. W chwili wejścia bolszewików witano ich tu entuzjastycznie. Trzeba przyznać, że największy entuzjazm i zaangażowanie okazali Żydzi. Oni szybko nawiązali kontakty z władzami sowieckimi. Oni byli tymi, którzy wskazywali władzom sowieckim kto jest Polakiem, kto jest kapralem, kto sierżantem, kto jest właścicielem gospodarstwa. To była cała sprężyna. Niestety ale Żydzi nie popisali się. Dopiero jak weszli do kołchozów i zabrano im wszystko to dopiero wtedy sytuacja się odwróciła. Kołchozy i wywózki skutecznie odwróciły sympatię ludności białoruskiej do Sowietów. Gdy weszli Niemcy to uznawali własność prywatną. Byli oni, po tych wszystkich dotychczasowych represjach, wywózkach i dolegliwościach jakie stwarzała władza sowiecka, byli witani entuzjastycznie przez miejscową ludność. I to nie tylko przez Białorusinów ale i także przez Polaków. Niemców początkowo traktowano raczej z sympatią. Potem dopiero gdy Niemcy nałożyli kontyngenty to zaczęli się na nich krzywić i jedni i drudzy. Ludzie mieli już dość wojny. W tym czasie w wśród miejscowej ludności funkcjonowała plotka, że jeśli przedsięwzięta przez ludność akcja dojdzie do frontu to skończy się wojna. Na czym polegała ta akcja? Trzeba było w ciągu jednej nocy wyciąć w lesie z drzewa i postawić krzyż. Kobiety musiały utkać ręczniczki i wypieć chleb bez kwasu. Bolszewicy w terenie wycięli wszystkie krzyże /znaki wiary/, a tu w pewnym momencie ni stąd ni zowąd pojawiły się krzyże. Z jednego końca wioski krzyż postawili katolicy, a na drugim końcu prawosławni. Były jednak wypadki, że krzyż katolicki stał z jednej strony drogi a z drugiej strony krzyż prawosławny. Krzyża te następnie poświęcili księża czy też popi. Nie było ważne, że powstał on z zabobonu. O tym nikt nie będzie wiedział, ważne było, że jest krzyż, że stoi

w widocznym miejscu. Wiara, że wojna zakończy się jakimś cudem podtrzymywała też jakąś miejscową ludność. W każdym razie teren był bardzo biedny. W 1942 r. wszyscy ci, którzy mieli majątki opuścili swe dotychczasowe domostwa. Uciekli na obrzeża puszczy gdzie były posterunki policji ~~ukraińskiej~~ białoruskiej i gdzie stacjonowały jednostki niemieckie. Czynie tak chroniąc się przed partyzantką sowiecką. Partyzanci sowieccy zamordowali m. in. księdza w Dubrowie, zamordowali księdza w Jarszewiczach. Jedynie ksiądz w Gródku doskonale władał rosyjskim i miał tę umiejętność rozmowy i zjedwania sobie ludzi, obojętnie czy to katolików, czy prawosławnych, czy Rosjan, czy Polaków i dzięki temu istniał. Partyzantka sowiecka zaczęła się dopiero organizować po Stalinogradzie, kiedy to oddziały działające dotychczas w puszczy bez kierownictwa nawiązały ścisłą łączność z Wielką Ziemią. Zaczęli też dostawać brzozy. W pierwszych szeregach otrzymywali radiostacje i NKWD-istów, którzy wprowadzili dyscyplinę w oddziałach i zaczęli organizować regularne grupy zbrojne. Sami też przystąpili do tapienia oddziałów działających w puszczy, które nie chciały im się poddać, nie chciały z nimi współpracować, a zajmowały się tylko grabieżą. Były to grupy małe, ale było ich w terenie bardzo dużo. Początkowo wydawało się nam, że gdy nasłani dowódcy sowieccy wezmą ich w karby to sytuacja się jakoś unormuje. Na terenie Mołodeczⁿⁱskim działały dwie brygady, dwa sgrupowania: Stalińców i Czkałowców. Brygada Stalińców zajmowała większy teren i była bardzo dobrze zorganizowana, energiczna. Widać, że komendanci wiedzieli co chcą zrobić. Nie chcieli oni jednak walczyć specjalnie z Niemcami i dlatego niewiele zdziałali. Przez cały okres jak byłem na tym terenie to nie wysadzili ani jednego pościgu na linii Mołodeczno - Lida, czy też Mołodeczno - Mińsk. Działali raczej bliżej Mińska gdzie były też inne oddziały sowieckie podlegające dowództwu w Mińsku. Na naszym terenie byli raczej nastawieni na wywiad. Szukali kontaktu z nami i go znaleźli. Mieliśmy kontakt. Chodziko im przede

wszystkim o wiadomości o transporcie kolejowym na trasie Lida - Mołodeczno, Wilno - Mołodeczno oraz o informację o tym jakie towary są przewożone. Ponieważ mieliśmy zorganizowany oddział kolejarzy z Mołodeczna to posiadaliśmy te informacje. Wiedzieliśmy też sami, że partyzanci sowieccy w pewnych punktach nad bagnami obserwują przejeżdżające pociągi i notują kierunki ich jazdy. Jeżeli czołgi, broń pancerna znajdowały się na odkrytych lorach to mogli się również zorientować w zawartości transportów, nie wiedzieli natomiast co jest przewożone w zamkniętych wagonach. My to uzupełnialiśmy im i zdawało się nam, że ta nasza współpraca da rezultaty. Kontakt z partyzantką sowiecką nawiązaliśmy za pośrednictwem księdza "Wiktora" Gogolińskiego z Gródka. Do niego zgłosili się partyzanci sowieccy mówiąc, że wiedzą iż na tym terenie działają też oddziały polskie, z którymi oni chcieliby nawiązać kontakt. Ksiądz Gogoliński przekazał nam tę wiadomość. Po dyskusjach ustaliliśmy, że trzeba się jednak ujawnić. Ponieważ wiedzieli, że gospodarz u którego ja się zatrzymałem - Żyd bardzo pomagał w organizowanych wcześniej przerzutach jeńców sowieckich do puszczy to kontakt był ułatwiony. Sam gospodarz był w partyzantce u Czałowców.

Gdy zjawiłem się na tym terenie miałem do wyboru: albo pojechać do Mołodeczna albo na wieś. Na wsi było łatwiej z wyżywieniem i z poruszaniem się. W Mołodecznie, które było naszpikowane wojskiem i żandarmerią, które było punktem przelotowym dla pociągów na trasie Wilno - Mińsk, Lida - Mińsk trudno było mnie się zarejestrować jako mieszkańiec. Zapchane one też było uciekinierami z terenu całego powiatu.

Największym skupiskiem Białorusinów były Smorgonie, leżące na północ od toru Lida - Mołodeczno i same Mołodeczno. Drugie skupisko to był Raków. To była tak zwana Rzeczypospolita Rakowiecka. Był tu jeden żandarm niemiecki, była silna białoruska policja składająca się z Polaków. Tam zasadniczo rządзилиśmy my. Znajdująca się tam młodzież wymagała

jednak szkolenia wojskowego. W 1942 r. cały teren obsadzony był siatką konspiracyjną. W 1943 r. większość młodych ludzi uciekła z terenu. Pozostały tylko kobiety. Bardzo kulała łączność. Nie było telefonów. Nawet z rowerem były trudności czy z dobrymi butami bo łatwo można je było stracić. Gdy przebywałem na południe od toru kolejowego Iida - Mołodeczno to byłem partyzantem gdy wyjeżdżałem na północ to zaczynałem być człowiekiem. Życie tam było bardzo ciężkie. Ja już nawet zapomniałem jak się dobrze chodzi ubrany. Do tego miałem jeszcze chęć porozumieć się z Mołodeczno granicę między Białorusią i Litwą. Co prawda nie była to tak silnie strzeżona granica jak z Gubernią ale w każdym razie spotykało się patrole policji białoruskiej a na północy policji litewskiej. Trzeba było mieć aktualne dokumenty ważne tam i ważne tu. Nie można było pomylić nazwiska, miejsca zamieszkania. Były więc pewne utrudnienia dla działania. Inteligentną młodzież trzymała Oszmiana. Trudno było szkolenie odbywać w miasteczku więc wyjeżdżaliśmy do Kuśzan. Dookoła miejscowość była obsadzona przez nasze placówki, a szkolenie odbywać się w majątku. Przeważnie rozpoczynaliśmy szkolenie w sobotę po południu, powrót miał miejsce w niedzielę wieczorem. Instruktorzy mieścili się i w Smorgoniach i w ~~Krakowie~~ Rakowie. Jeżeli chodzi o taktykę to ja prowadziłem zajęcia. Naukę o broni prowadzili inni oficerowie. Rozjeżdżaliśmy się w terenie. System trójkowy był nie do utrzymania. Raz z powodu szkolenia a po drugie to wszyscy z konspiracji /jak w Rakowie/ byli jednocześnie w policji białoruskiej. Wszyscy znali się też jak żywe konie. Jak tu utrzymać ścisłą tajemnicę. Miejscowa młodzież, zwłaszcza harcerska, rwała się do czynu. Często sama organizowała się ulicami, mimo tego że instruktorzy niejednokrotnie wstrzymywali ich. Były też ćwiczenia ze służby sanitarniej, łączności. Na czele żandarmerii w Rakowie był przychylny nam Austrijak. Mógł się on właściwie utrzymać na stanowisku dzięki pomocy polskiej konspiracji, gdyż stwarzano mu takie możliwości, że mógł

Miał on rozległe powiązania rodzinne w pobliżu Mołodieczna jak i w samym Mołodiecznie, ale także i w pobliżu Rakowa aż po puszcę Nalibocką. 19 marca 1943 r. we trzech jechaliśmy z zadaniem likwidacji konfidenta. Było nas dwóch z naszego obwodu i człowiek przysłany przez inspektorat który miał wykonać zasadnicze zadanie. Pod Rakowem zostaliśmy otoczeni przez sowiecki oddział partyzancki. Był on złożony przeważnie z Białorusinów niebył przychylnie do nas ustosunkowanych. Ponieważ mieliśmy już ustalone hasła rozpoznawcze pomiędzy oddziałami partyzancki sowieckiej i polskiej więc myśleliśmy, że te hasła wyjaśnią naszą sytuację i będziemy mogli jechać dalej wykonać nasze zadanie. Byliśmy uzbrojeni ale w broń krótką i granaty. Okazało się, że partyzanci sowieccy byli pijani i nie nie uwzględniali. Wydawało się, że zostaniemy rozstrzelani. Jednak komendant tego oddziału zawiadził nas do pobliskiej wioski. Zrobiono sąd nad nami. W końcu postanowiono, że zostaniemy wywiezieni do puszczy. Wybawiło nas jednak to, że po drodze spotkali sowiecki oddział partyzancki, który mnie znał i dzięki nim zostaliśmy wypuszczeni. Przy okazji nawiązaliśmy z nimi kontakt i porozumieliliśmy się w sprawie ukrócenia bezorganizacyjnej grabieży terenu i zboża przeznaczonego na siew. My chcieliśmy im sami dawać zboże ale oni odmówili gdyż z ilości przyjmowanego zboża można było orientacyjnie wyliczyć stan osobowy oddziału. Chcieliśmy w czasie rozmów ze sztabem partyzanckim w puszczy rozwiązać ten problem. Doszliśmy do porozumienia. Do tego przyczyniło się i to, że nasze dane o transportach kolejowych przejeżdżających przez powiat nasz, które im przekazywaliśmy potwierdzały się z ich obserwacjami. Wszystko zakończyło się pomyślnie i po czterech dniach puszczono nas do domu. Sami Sowietci zrobili nam tym przy okazji propagandę. Jeśli do tej pory witano mnie zdrajcą to teraz mówiono już tylko dziękuję panie. Nasze układy z Sowietami od lutego 1943 r. do czerwca tegoż roku były nawet dobre. Zdawało nam się że oni się uspokoili. W czerwcu nastąpił przełomowy moment. W pobliskim

Iwieniu wyszedł w teren pierwszy polski oddział partyzancki w okolicy, choć był tam bardzo silny garnizon niemiecki i policja białoruska. Wyszło całe miasto. Zostały tylko jednostki stare. Powstał też słynny 78 pułk piechoty Stołpce dowodzony przez "Górę". Było to pewnego rodzaju szokiem dla całego terenu. Szokowało to nie tylko Niemców ale i Rosjan, którzy nie przypuszczali, że tak silna może być organizacja Armii Krajowej. Teraz wyobrażali oni sobie co to jest Raków /jeżeli Iwieniec tak wyskoczył/, co to jest Mołodeczno. W czerwcu przyszedł też dla nich z Moskwy rozkaz /wtedy o nim nie wiedzieliśmy/ by wszystkie polskie organizacje w terenie podległe Londynowi zlikwidować.

15 lipca 1943 r. Niemcy w sile 10 tysięcy otaczali puszcę Nalibocką rozpoczynając blokadę znajdujących się w niej oddziałów partyzancki z sowieckiej. Akcja przybrała kryptonim "Herman". Oddział stołpecki stawiał czoła oddziałom niemieckim a natomiast partyzanci sowieccy przebili się na zaplecze przez puszcę i podeszli aż pod Mińsk wychodząc z niemieckiego okrążenia. Były to olbrzymie kompleksy leśne, błota, bagno, które ciągnęły się aż pod Smoleńsk. Polacy bili się z Niemcami. Wielkie trudności a bardzo duże straty. Wyjście jednak z opresji i niemieckiego okrążenia zmobilizowało młodzież do walki.

Zaraz po tym jak przyszedłem z Oszmiany do Mołodeczna nastąpił bardzo przykry dla mnie wypadek - straciłem buty.

Po utworzeniu oddziału partyzanckiego na terenie powiatu Mołodeczno /później 23 brygada partyzancka AK/ pierwszym naszym zadaniem przydzielonym przez inspektora "Jarema" było rozbicie niemieckiej administracji na północy powiatu. Celem było zniszczenie spisów dotyczących dostaw w ramach kontyngentów. W czasie tej akcji ponieśliśmy duże straty bo 4 partyzantów zostało zabitych a 3 rannych na 15 partyzantów, to bardzo dużo. Początkowo sprawowałem swoją funkcję szefa wyszkolenia w obwodzie i jednocześnie byłem przy oddziale partyzanckim. Od marca 1944 r. przejąłem już całkowicie dowództwo nad oddziałem. Z tą chwilą wyko-

nywaliśmy już tylko rozkazy inspektoratu. Nie było już mowy o żadnej samodzielności w działaniu co możliwe było jeszcze wcześniej w początkach powstawania partyzantki. Teraz dostawaliśmy już z inspektoratu ściśle określone zadania.

Po powstaniu oddziału partyzanckiego początkowo nie mogliśmy się jeszcze za daleko posuwać, bo po pierwsze byliśmy jeszcze zbyt słabi, liczyliśmy dwa plutony i trzeci w organizację, mieliśmy karabin maszynowy. Mieliśmy możliwość działania w pewnym pasie terenu. Na obszarze trójkąta Mołodeczno - Wilno - Lida wszystkie akcje były kierowane przez inspektorat, za wyjątkiem bitwy pod Łostojaniami, to była wyłącznie moja inicjatywa, dostałem za to w skórę. Miało to wpływ na następne akcje. Chłopcy zapoznali się z walką w zabudowaniach nocą. Zrozumieli, że nie należy krzyczeć, nie hurą, a podejść cicho. Inspektor uznał założenia akcji za prawidłowe, uznał wykonanie samego zadania jako dobre, jednak ostatni moment nie wyszedł. Jednak walka z oddziałami frontowymi była znacznie trudniejsza. Żołnierz frontowy nie czekał tylko na rozkazy potrafił sam działać. Najprawdopodobniej gdybyśmy w takim Tołminowie mieli za przeciwnika frontowe oddziały to prawdopodobnie dostylilibyśmy w skórę. Atakujący powinien być również w przewadze, takie są wymagania taktyki, a my wyszliśmy do akcji mniejszym oddziałem niż ten, który tam był zakwaterowany już od dłuższego czasu. Miał on przygotowane stanowiska obronne, ale to był inny żołnierz. To był Litwin, który został wyprowadzony z domu, zmobilizowany, wysłany na obcy teren i nie widział sensu swej walki.

W okresie mołodeczzańskim miałem pseudonim "Sep", teraz po przyjeździe do oddziału chciałem się pozbyć tego pseudonimu, żeby ten oddział nie był utożsamiany z oddziałem, który był w puszczy Nalibockiej. Po przebieciu się z puszczy Nalibockiej odeszliśmy już z tamtego terenu, pozostał tam "Góra". Chciałem, żeby było mniemanie, że ja tam jestem ra-

zem z "Górami". Chodziło też o to, żeby oddziały partyzanckie z naszego inspektoratu nie miały piętna walki z Sowietami. Dlatego postanowiliśmy zmienić pseudonim. Kolejny chcieli by oddział miał jakiś swój znak. Zrobili nietoperza. Stąd i mój pseudonim "Nietoperz". Było to w marcu 1944r. Przy mojej brygadzie nie było kuchni. Żywiliśmy się w wioskach. Uderzając na Krewę zdobyliśmy magazyny zbożowe. Gospodarz był najbardziej czuły na zboże i na mięso. Ponieważ my przez dwa dni i przez dwie noce wyciągnęliśmy z magazynów zbożowych w Krewie dużo zboża rozdysponowaliśmy je między poszczególnych gospodarzy w okolicznych wioskach. Później korzystaliśmy już z naszego, zdobycznego zapewniania. Wobec tego nie byliśmy ciężarem dla ludności jeśli chodzi o chleb. Nie mieliśmy pieniędzy ale mogliśmy jednocześnie płacić tym zbożem. Poza tym nie chroniliśmy miejscową ludność przed kontyngentami. Wystawialiśmy dokumenty z pieczęcią, że np. zarekwirowano mleko. Nie krzywdziliśmy nikogo. Żywność braliśmy też z majątków zarządzanych przez pracowników Ostlandu - Polaków. Ludność przyjaśniała nas bardzo serdecznie. Współpraca z ludnością było bardzo sympatyczne. W okolicy gdzie działaliśmy mieszkali tylko polska ludność, tylko pod Mołodiecznem gdzie czasem zachodziliśmy mieszkali Białorusini. Odmiana były całkowicie polska.

Czy 13 brygada wzięła udział w uderzeniu na Wilno z 6 na 7 lipca? To zależy od punktu widzenia. Czy udział bierze ten, który naciera w pierwszej linii czy ten w drugiej linii też? Stanowi wtedy odpowiedź bezpośredni. Nie wiedziałem o przesunięciu terminu uderzenia na Wilno jeden dzień wcześniej. Zostałem wysłany na przedpole Mołodieczna i 4 lipca gdy bolszewicy zdobyli już Smorgonie, gdy byli już w Krasnym, ja byłem bez rozkazów już od przeszło dwóch tygodni. Z puszczy Nalibockiej wychodzą partyzanckie oddziały sowieckie, boją się nas zaatakować. Ale co robić. Zdaję sobie sprawę, że grupa 450 - 500 ludzi, których ja mam to jest kropla w morzu. Niczego dobrego od Sowietów nie oczekiwaliśmy. Przecież

o Katyniu już, wiedzieliśmy. Nie mając już od dłuższego czasu kontaktu wycofałem się na tereny Oszmiany. Dostałem się do dowództwa inspektoratu. "Jarema" wysłał do mnie rozkazy, które jednak nie dotarły do mnie, zlecił mi 5 lipca powrotny marsz na ten teren. Gdy przyszedł rozkaz o uderzeniu na Wilno byłem pod Oszmianą. To było około 100 kilometrów od Wilna. Inspektorat wogóle nie wiedział, że w komendzie okręgu opracowywane jest uderzenie na Wilno, bo przecież gdyby na 7 była przygotowywana akcja na Wilno to ~~na~~ oddziały partyzanckie nie miałyby być pod Mołodeczem a podciągnęlibyśmy pod Wilno. W przeddzień uderzenia ja byłem 130 kilometrów od Wilna. Rozkaz o uderzeniu na Wilno 6 lipca przyszedł do mnie z komendy okręgu o godzinie 10 rano 5 lipca. 6 lipca wieczorem byliśmy już w Czarnem pod Wilnem, odpoczywaliśmy i wieczorem ruszyliśmy do podstawy wyjściowej na Dolinę. Dlaczego nie wzięliśmy bezpośredniego udziału w uderzeniu na Wilno. Są wymogi taktyki i każdy dowódca pozostawia sobie część sił w odwodzie. Zostaliśmy przydzieleni do innego zgrupowania dowodzonego przez "Pochoreckiego". W jego zgrupowaniu brały udział cztery duże oddziały, trzy w pierwszej linii jeden pozostał w tyle. Ciążyła na "Pochoreckim" jeszcze ta nie- wiara w Sowietów. On nie tyle myślał o tym żeby iść do przodu co odsko- nić się od nacierających się Sowietów. Przecież zmienił mi front nie na Wilno tylko w kierunku na wschód. Tak więc udział w walkach o Wilno brałem udział. Do wieczora nie było kontaktu z wkraczającym woj- skiem sowieckim. Kontakt miał inspektor "Pochorecki". Kazali mi się roz- taki -broić on wydał rozkaz, na szczęście nie doszedł do mnie tylko do 8 brygady. Wcześniej było umówione, że w razie jakis niepowodzeń, kłopo- tów koncentrujemy się w Szwajcarach. Ja stam poszedłem. W Szwajcarach spotkałem się już z moim inspektorem "Jaremą". 17. lipca nie byłem na odprawie w Boguszech. Od nas nikt nie był, gdyż dostaliśmy zawiadomie- nie, że przegląd oddziałów będzie na miejscu. Zebraliśmy się mi, dy Szwajcarami a Dołbianami i czekaliśmy na odprawę. Tam "Jarema" poinform

-mował nam, że 14 lipca wyszły nasze wnioski awansowe i o odznaczenia. Mieliśmy tworzyć 86 pułk piechoty. 13 brygada występowała jako pierwszy batalion, 12 brygada jako drugi i 9 brygada jako trzeci batalion. Wszystkie szwadry zostały połączone jako kawaleria. Rozmawialiśmy o dalszym rozwoju wypadków. Dowódca powiedział nam, że jako młodzi oficerowie jesteśmy przeznaczeni na szkolenie i prawdopodobnie zastąpią nas dowódcy starsi rangą. Czekaając dostaliśmy zawiadomienie, że nie tu ma być odprawa, ale w Boguszech. "Jarema" dysponował ciężarowym samochodem i chcieliśmy nim jechać na odprawę. Powiedziałem jednak wtedy: ot zupełnie jak w puszczy Malibockiej. "Jarema" powiedział do mnie może masz rację. Postanowiliśmy, że wszyscy oficerowie ze zgrupowania pojedziemy na odprawę jednak konno. Nie dojechaliśmy jeszcze do Bogusza jak usłyszeliśmy dwa strzaski. Stanęliśmy. W tym momencie zobaczyliśmy dwóch uciekających oficerów wywiadu, którym udało się uciec z odprawy w Boguszych. Zawróciliśmy do puszczy Rudnickiej. Podorwaliśmy na nogi resztę brygady i zdrowych ze szpitala w Szwańcearach. Ruszyliśmy w kierunku południowym. 13 brygada szła jako szpica, potem szło dowództwo, część ludzi ze szpitala, 12 brygada i na końcu 9. Przemarsz do puszczy Rudnickiej był bardzo trudny chociaż bez walki. Nie wszystkie oddziały sowieckie wiedziały o rozpoczęciu przeciwko nam akcji. Przedzieraliśmy się przez stacjonujące w pobliżu oddziały sowieckie i tak dotarliśmy do puszczy Rudnickiej. Spotkaliśmy tam pułkownika Blumskiego "Strychańskiego", którego już wcześniej znałem. On miał objąć dowództwo nad wszystkimi oddziałami w puszczy. Nie mieliśmy map, ani przewodników, ani prawie mówiąc zadania. Nad nami latały "kukuryżniki", rozrzucali ulotki. Szliśmy nie wiedząc dokąd. Szliśmy na południowy - zachód mniej więcej równoległe do szosy Wilno - Grodno. Na wysokości Rudnów zaczęły nas mijać amfibie, ale bez żadnego wrogiego stosunku. Szliśmy po grobli. Na prawo i na lewo były bagna. Po przejściu bagien weszliśmy do lasu.

Ja szedłem jako pierwszy w szpiecy. Za mną 12 brygada. Amfibie które wcześniej widzieliśmy zatrzymały się na skraju polany i zamknęły drogę dowództwu. "Jarema" człowiek bardzo energiczny i bojowy zaczął się z nimi wyklócać. 12 brygada zauważyła, że Sowieci zatrzymali "Jarema". Cofnęli się. Ten ruch i zajęcie stanowisk pozwoliły "Jaremi" odskoczyć do nas. Był wtedy na koniu. Wyjście z grobli zajęły amfibie sowieckie. Nastąpiło rozbrojenie 9 brygady, która szła w tyle. Ssensu walki nie było żadnego. Nie było ani lasu, tylko bagna i szosa. Nie było jak się rozwinąć. Sowieci mieli broń maszynową. W lesie "Jarema" podjął decyzję rozwiązywania oddziału, kto chce iść do domu może teraz odejść z oddziału, a kto chce zostać pójdzie razem z nim, za Niemen. Było to 19 lipca. Część chciała iść a część wracać. W 13 brygadzie wszyscy zgodzili się iść dalej. Nie było chętnych do powrotu do domu. W 12 brygadzie ci co odchodzili zamieniali się bronią z tymi co pozostawali. W tym czasie otoczyli nas bolszewicy. Rozpoczęła się strzelanina. "Jarema" z częścią ludzi przedarł się na południowy - wschód, ja poszedłem w przeciwnym kierunku. Czekając na dowództwo sgrubowania straciłem dużo czasu i niebawem też zostałem otoczony. Rozpoczęła się walka. Tu już przestało działać rozkazodawstwo. Z grupką ludzi, z którą byłem bezpośrednio rzucaliśmy się do ucieczki. Inna część brygady rozbiegła się w różne kierunki. Z około 15 ludźmi wydostaliśmy się z okrążenia. Straciłem jednak kontakt z "Jarema". Pozostała część brygady została rozbrojona a część zdołała uciec. Około 2/3 brygady rozbiegło się a 1/2 została wywieziona do Kaługi. Z puszczy Rudnickiej poszliśmy w kierunku puszczy Ruskiej. Koło 24- 25 lipca znowu spotkałem się z "Jarema". Był nas już tylko 15, ale i przy "Jaremie" nie było dużo /część z 12 brygady, był jej komendant "Cerber"/. "Jarema" miał krwawe wylewy w kolanach i nie mógł chodzić. Gdzieś około 10 sierpnia wyszliśmy z puszczy Nackiej /zwanej też Ruską/. W puszczy Nackiej nie dochodziło jeszcze do starć z wojskami sowieckimi. Chcieliśmy przejść Niemen, był on jednak bardzo silnie ob-

sadzony zarówno przez Niemców jak i przez Rosjan. Nie było mowy o przejściu. W tej sytuacji cofnęliśmy się. Wychodząc z puszczy nawiązaliśmy kontakt z "Tonką" i z "Kotwiczem". Każde oddziały kwaterowały jednak osobno. Mieliśmy nadzieję, że front się przesunie i my za frontem przejdziemy na zachód. Poprzez łącznikowski mieliśmy również kontakty z powstanką w Wilnie komendą okręgu.

Jeszcze pod Wilnem dostaliśmy wytyczne: nie dać się rozbroić i nie walczyć z wojskami sowieckimi. Nie umialiśmy takiego zadania wykonać.

18 sierpnia byliśmy w Borowym i zauważyliśmy, że pobliskie wsie były zajmowane przez Sowieców. Zasadniczo powinniśmy wyjść z zabudowań i gdzieś się ukryć w dobrym gąszczu w dolinie Naczy. Na bagnach można było przeczekać. "Jarema" był zbyt chory, aby mógł pójść. Liczyliśmy, że jeszcze przeczekamy i rano jak codziennie uderzymy w las. Mgła była bardzo duża, że nie było widać i Sowieci podszli pod nasze ubezpieczenie. Po czym podszli pod zabudowania. Walka zaczęła się już na dziedzińcu. "Jarema" był w mieszkaniu. Ja z oddziałem byłem w stodole. Wyskoczyliśmy i zderzyliśmy się bezpośrednio z Sowiecami. Zaczęła się strzelanina. W tym czasie "Cerber" zdążył wyciągnąć "Jarema" i z 12 brygadą zdolał odskoczyć do lasu. My walcząc wycofywaliśmy się jednocześnie. Straciliśmy jednak łączność z "Cerberem". Sowieci gonili nas z psami. Weszliśmy w dolinę Naczy, zaczęliśmy błądzić po błotach. Przetrwaliśmy dzień i w następną noc wyszliśmy z bagien. Zdecydowałem, że maszerujemy w kierunku Oszmiany i tym się rozwiązemy. Około 21 sierpnia byliśmy w okolicach Surkont, w których siedział ze swym oddziałem "Kotwicz". Nie o nim wtedy nie wiedzieliśmy. Posuwaliśmy się w kierunku na tereny mołodziezańskie. Na skraju jakiegoś lasu zauważyliśmy marsz kolumn sowieckich, które szły z kierunku północnego na południe. Były to dość silne oddziały bo liczyły gdzieś około batalionu. My nie chcąc narażać ludności i obawiając się rozpoznania i patroli sowieckich wkończyliśmy do kartoflisa i obserwowaliśmy ich. Po około 2-3 godzinach usłyszeliśmy o odda-

li strzelaninę. Nie szliśmy na odgłos walk, gdyż po pierwsze nie mieliśmy ani siły na podjęcie walki, nie byliśmy również zorientowani w terenie, nie wiedzieliśmy co to jest za strzelanina. Czy to jakiś oddział się broni, czy atakuje. Dopiero później dowiedziałem się, że to był odgłos walki oddziałów "Kotwica" z Sowietami pod Surkontami. Zdecydowałem oddział rozwiązać i po dwóch - trzech, po zamelinowaniu broni rozprzestrzeniliśmy się w terenie. Jedni pomaszcerowali do Wilna, ja z ~~m~~
~~fraz~~ zbrojnymistrzem i kwatermistrzem i dwódcą drugiej kompanii poszedłem do Oszmiany. Pod Oszmianą nawiązałem kontakt z konspiracją. Oszmiana była już mocno zniszczona. Kontakty, które miałem nie dawały już właściwie nic. Chodziło mi przede wszystkim o zdobycie wymaganych przez Sowie-
tów dokumentów. Zobec tego skierowaliśmy się do Wilna. Zkapałem tu nowe kontakty z Banasikowskim z księdzem "Wiktorem". Zmienilem znów nazwisko. Wiedzieliśmy już o całej tragedii "Wilka" o aresztowaniach. Przyszedłem do domu całkowicie schorowany. Do Wilna przyszedłem już we wrześniu 1944 r. Spotykałem żonę.

17 grudnia tegoż roku wraz z żoną zostałem aresztowany. Po moim przyjeździe do Wilna dowódca 8 brygady "Tur" dostał rozkaz z komendy okręgu wileńskiego wymarszu wraz z podległym sobie oddziałem do lasu. Ja tego ze względu na słaby stan zdrowia udało mi się uniknąć.

Przed przyjściem do Wilna jeszcze dłuższy czas siedziałem w okolicach
Oszmiany w Grauzyszakah i Klewicy.n

Po aresztowaniu zostaliśmy jednak wypuszczeni, gdyż nie nas szukano. Sowieci mieli chyba nadzieję, że jak nas wypuszczą, to naprowadzimy ich na ślad innych ludzi z konspiracji, których szukali. Jednak na drugi dzień po wypuszczeniu już mnie z żoną nie było w Wilnie. Zorganizowano nam wyjazd nielegalny do Białegostoku. Było to w styczniu 1945 r. Wyjechałem z Wilna chyba w dwa - trzy dni po wielkim wybuchu amunicji na stacji kolejowej w Wilnie. Było to chyba 15 stycznia. W Białymstoku czekałem do kwietnia, kiedy to transportem repatriacyjnym przyjechała

moja żona. Pojechaliśmy do Tarunia, gdzie znalazłem swoich rodziców. Z pięciu braci, których przed wojną zegnałem był tylko jeden. Ja przyszedłem pierwszy z frontu a trzech jeszcze było na frontach zachodnich.

Nagrobki
Spisał Krzysztof Tarka.